

Olga Rembelińska

Wałdowo. Gawęda

Mój tata miał dar opowiadania baśni wywiedzionych z własnego życia. Czasami przypominał mi barona Münchhausena. Czuję dużą potrzebę podzielenia się nimi z czytelnikiem. Przybywam więc do was, by przelożyć je na język pisany. Pochodzą one z okolic Wałdowa, wsi położonej na Kaszubach. Mieszkałam tam, gdy byłam jeszcze bardzo mała.

Zacznę opowieść od podwórka. Mojego późniejszego dzikiego placu zabaw. Trzy rosnące na nim świerki zapadły mi wyjątkowo w pamięć. Były piękne i tajemnicze, sięgające chmur. Podobno w czasach, gdy ojciec hodował kury, czaił się w nich jastrzęb. Zlatywał ze szczytu jak szybowiec i porywał biedną kurę, odlatując z ofiarą w szponach daleko poza zasięg ludzkiego spojrzenia.

Działo się to dawno, na długo przed moim urodzeniem.

W odległych czasach, gdy rozumiano jeszcze prawa natury. Odchodzenie kur było tam naturalną częścią cyklu życia i śmierci.

Zagłębiając się w moje baśnie, poznać chwytały, nalewaki i śpiewaki. Dłuższą opowieść o Hirku oraz o byczku Fernandesie, który naźarł się rosnących w ogródku konopi indyjskich i szalał po lesie niczym duch pokutnika. Warto nadmienić, że wszystko to wydarzyło się naprawdę.

Hirko

Poprzednim właścicielem naszego domu był Ukrainiec Hirko. Niewiele o nim wiadomo poza tym, że był przesiedleńcem. Okoliczności jego śmierci są jednak ciekawe i straszne zarazem. Otóż Hirka znaleziono przed domem, siedzącego z otwartymi oczami, zupełnie martwego. Miejscowi potem mawiali, że zobaczył śmierć. Uważali też, że dom stał się nawiedzony, i nikt nie chciał już w nim mieszkać.

I wtedy pojawił się mój ojciec; właśnie rozpadła się jego małżeństwo ze znaną malarką i rzeźbiarką, która, jak sam twierdził, w życiu okazała się równie awangardowa. Przyjechał starą pobiędą prosto z Warszawy i zamieszkał w nawiedzonym domostwie. Z daleka od problemów, ale przede wszystkim z daleka od ludzi.

Przez pierwsze miesiące panował spokój, ojciec powoli remontował sobie dom. Pewnej nocy usłyszał łomotanie do drzwi. Za moment zaś za szybą pojawiła się owłosiona głowa z podkrążonymi oczami.

– Coś ty za jeden?

– Hirko!

Na ułamek sekundy ojciec się zawahał. Rozmawia z człowiekiem czy z duchem?

– Może, panie Hirko, umówimy się na spotkanie w ciągu dnia?

– Jak mnie, kurwa, nie wpuścisz, to powybijam ci wszystkie okna w chałupie!

Wahanie natychmiast się ulotniło. Ojciec sięgnął po dubeltówkę, wycelował prosto w okno. Zapalił światło. Zgasił je. Hirko znikł.

Dla pewności i wewnętrznego spokoju ojciec zadzwonił na milicję. Usłyszał:

– O cholera, przecież on może pana podhajcować!

Tak się jednak nie stało, wręcz się okazało, że niedoszły duch był synem Hirka. A dokładniej górnikiem, który porzucił pracę. Na użytek opowieści przypomnijmy, że w czasie stanu wojennego porzucenie kopalni było równoznaczne z dezercją. Przybył więc do domu rodzinnego, żeby się ukrywać.

Młody Hirko po próbie „zamordowania go”, jak sam to potem relacjonował, udał się następnie do sąsiadów. Sterroryzował dzieci, które były same w domu, i zasnął na podłodze.

Rano zwinęła go milicja. Morał z tego jest taki, że czy mamy do czynienia z duchem, czy też nie, w chwilach wątpliwości zawsze warto wycelować mu w łeb.

Byczek Fernandes

Byczek Fernandes zjawiał się w Wałdowie na skutek wygrania go na wiejskiej loterii. Swoje piękne imię zawdzięczał bajce *The Story of Ferdinand* w przekładzie Ireny Tuwim. Był istotą wypełnioną miłością, nieustannie pragnącą ją wyrażać na swój byczy sposób, to jest czochraniem łba o ciało jego

„taty”. Należało zatem mocno złapać się słupa i pozwolić stworzeniu na dowiedzenie swojego uczucia.

W niejasnych dla mnie okolicznościach ojciec wszedł w posiadanie nasion konopi, które postanowił zasiać w przydomowym ogródku. Byczek Fernandes pewnego wieczora oswobodził się i niczym rasowy rastaman pochłonął zielone, świeże krzaczki sativy. A cóż to była za noc: księżyc w pełni – warunki idealne na nocne łowy. Uzbrojony w sztucer, ubrany w moro, ojciec ruszył do lasu. Jeszcze nie wiedział, że ktoś za nim podąża.

Gdy przedzierał się przez pole, nagle zleciały się puszczyki; wyraźnie zaintrygowane, pohukiwały. Wtem przyczyna ich raptownego zgromadzenia ujawniła się wraz z przeciągłym „miau”. Nikt inny jak sama Mrumra, kotka domowa, postanowiła potowarzyszyć tacie na lowach. Cóż było robić, kot wylądował pod pachą i szło się dalej w las. Mrumra, po przekroczeniu granicy sosen, cicho stąpała łapkami po podłożu i nie stanowiła już problemu. Tata zaczął się więc na brzegu leśnej polany na dziki.

Gdy już miał oddać strzał, w lesie rozległo się przeciągłe, przerażające wycie wraz z odgłosem brzęczącego łańcucha. Tym duchem-pokutnikiem okazał się byczek Fernandes, który przewalał się z hukiem przez waldowski las. Kiedy ojciec dostał się w końcu do byczego rastamana, zauważył wywalony jęzor i obłąkane ślepie. Byczek był kompletnie naćpany. Tej nocy z lowów wyszły nici, a ojciec powrócił do domu z dość osobliwą ferajną przy boku. Została jednak po niej piękna gawęda.



Dzieciństwo dziewczynki ni to ze wsi, ni to z miasta

Wiele lat później dom zapełniła moja rodzina, w tym ja. Rodzice byli z miasta, ale miejscowi ich akceptowali. Chowałam się wśród Kaszubów jak swoja, jednocześnie w domu nie chowałam się do końca po wiejsku. Byłam i jestem mieszanicem. Dzikim dzieckiem włóczącym się po lesie w poszukiwaniu drwa na opał. Owszem zajmowałam się młodszymi siostrami, ale raczej z potrzeby niż obowiązku.

Dni spędzałam również na obserwacji ptaków i szwendaniu się po okolicy z kotkiem przy nodze. W latach dziecięcych zdarzało się, że śmieci wypalano na dziko w dołach. Wpadały mi więc do głowy genialne pomysły, żeby na przykład smażyć kielbaski na patyku w takim właśnie aromatycznym „ognisku”.

Stwory

Zabawa, którą dobrze zapamiętałam, nazywała się „stwory”. Z punktu widzenia współczesnych modeli wychowania może się wydawać kontrowersyjna, ale obie z siostrą bardzo ją lubiliśmy.

Polegała na odgrywaniu przez ojca różnych ról. Był więc śpiewak, który wyśpiewywał napis z poniemieckich kafelków w kuchni: „zgoda w kuchni złotem jest” („das Einverständnis in der Küche ist so kostbar wie Gold”). Z tego, co pamiętam, nie był groźny, ale dla pewności chowałyśmy się przed nim pod stół. Był też nalewak, który jak można się domyślać, nalewał wodę na głowę i trzeba było przed nim uciekać.

Był też i ryś, który łapał nas pazurami i przerzucał z impetem na łóżko. Jeleń, który mógł nas stratować kopytami. Był też łoś, najłagodniejszy ze stworów, który przepowiadał nadejście najgroźniejszego z wszystkich: chwybaka.

Chwybak mieszkał w ambonie i przychodził straszyć dzieci, że jeśli będą niegrzeczne, urwie im głowę.

Zabawa wpisywała się w wiejski model straszenia nadprzyrodzonymi mocami i dziwadłami, by dyscyplinować dzieci. Jednocześnie bardzo wyraźnie odwoływała się do przyrody, wzmacniając uważność na jej obecność w naszym życiu.

Posłowie

Na studiach etnograficznych nauczyłam się, że opowieści o przodkach i relacjach z domem rodzinnym są sposobem na budowanie własnej kulturowej biografii. Domowe legendy, mity zapewniają nam dozę mistycyzmu, oświetlają moment naszego przyjscia na świat. Nie wiadomo do końca, jakimi prawami rządzą się mechanizmy pamięci opowiadającego. Na pewno pragnie on dotknąć żywej materii języka mówionego, często ubarwiając opowieść, wzbogacając ją o zaskakujące zwroty akcji (niekiedy kosztem mijania się z prawdą). Przechowywanie takich rodzinnych mitologii daje wrażenie, że istnieje jakaś ważna ciągłość z przeszłością. Podskórnie daje ufność, że przyszłość nie jest znowu taka niepewna. Zwłaszcza jako dzieci wprężnięte w proces akulturacji, gdy nasza wiedza o świecie jest niepełna, musimy wierzyć oraz ufać dorosłym.

Mail od Taty

To jak dotyk różdżki Harry'ego Pottera prosto w serce. W moje serce. Fernandes upomniął się o swoje prawa „dziecka”. Przecież oderwałem go od mamy, więc stałem



się Jego Tatą. I zaczęła się moja i jego fantastyczna przygoda, której bazą była jego nieprzypadkowa miłość do mnie i moje zdumienie, że uczucia nie są naszą ludzką wyłącznością. I że ten rodzaj miłości jest skazany na dramatyczny koniec. Twoje końcowe refleksje traktuję jako zapowiedź fascynujących możliwości w Twojej hipotetycznej opowieści o Dzieciństwie. Dla mnie dzieciństwo to kraina utraconych baśni do dziś... Budzisz nadzieję, że może uda się je odnaleźć. Jestem wzruszony i czekam...



OLGA REMBIELIŃSKA

– z wykształcenia jest etnologką. Publikowała m.in. w „Etnografii do kieszeni”, „Babińcu Literackim”, „Szajn” czy „Stonerze Polskim”. Jej wiersze znalazły się w antologiach pisma „Inter” oraz „Babińca Literackiego”. Open format DJ i host radiowy w Rave FM @djyellowmanula. Jest wielbicelką komputerów retro: ZX Spectrum, C-64 i Amigi. Jej debiutancki tom *Klaster* (Ha!art, 2023) został wydany w ramach Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO.



fot. prywatne archiwum autorki